

Homocenzura

10 czerwca 2012

W katolickim tygodniku „Gość Niedzielny” (03.06.2012) możemy przeczytać o projekcie nowej ustawy o karaniu za „znieważenie z powodu orientacji seksualnej”. Ustawa ta została zaproponowana przez Ruch Palikota i SLD, i ma zostać dopisana do pozostałych artykułów dotyczących tzw. „mowy nienawiści”. W tej chwili obejmują one: przynależność narodową, etniczną, rasową, wyznaniową lub bezwyznaniową. Według partii lewicowych, do tej grupy powinny zostać dodane jeszcze płeć, tożsamość płciowa (cokolwiek przez to rozumieć), orientacja seksualna i niepełnosprawność. Kary mają pozostać takie jak dotychczas, czyli w skrajnych przypadkach za swoje słowa będzie można wylądować nawet w więzieniu. W uzasadnieniu możemy przeczytać przykłady owej „mowy nienawiści”: „mężczyźni homoseksualni są zniewieściali”, „homoseksualiści myślą tylko o seksie”, „homoseksualiści są niezdolni do utrzymania trwałych związków”, „są emocjonalnie zaburzeni”, „wymagają terapii bądź leczenia”. Tak, właśnie za takie (w sumie dosyć popularne) opinie możemy mieć w przyszłości problemy w sądzie, jeśli pomysł ten zostanie przeforsowany.

Oczywiście trzeba sobie jasno powiedzieć, że nie chodzi tu o żadne prawa człowieka czy obronę kogokolwiek, ale że jest to zwykła, niebezpieczna cenzura, która ma za zadanie zamknąć usta przeciwnikom politycznym. W żadnym z wymienionych przykładów nie mamy do czynienia z jawną obrazą konkretnej osoby, ale po prostu z wyrażeniem swojego zdania na dany temat. Może ja źle pojąłem ideę wolności słowa, ale mógłbym ją zdefiniować jakoś tak: prawo KAŻDEGO człowieka do wyrażania KAŻDEJ opinii na KAŻDY temat. Nie widzę tutaj żadnego błędu. A teraz przyjrzyjmy się oklepanemu stwierdzeniu „homoseksualizm to choroba” – co z nim jest nie tak? Już dzisiaj przecież wiele ludzi zwyczajnie boi się wygłaszać ten pogląd (choroba, zboczenie, dewiacja, grzech, sodomia, obrzydliwość), nawet

jeśli szczerze tak myśli. Osoba która tak mówi może zostać łatwo zagłuszona, wyzwana od oszołomów, skierowana na leczenie (były i takie pomysły, choćby odnośnie Wojciech Cejrowskiego, który znany jest z ciętego języka w stronę gejów i lesbijek), a jak widzimy teraz – nawet sądzona prawnie. A czym innym jest to, niż zwykłym wyrażeniem swojego zdania na temat danego zjawiska? Mamy tutaj temat („homoseksualizm”) i mamy opinię o nim („to choroba”). Gdzie tu jest problem? Przecież jest to nic więcej, jak zwykłe stwierdzenie: „moje zdanie w tej kwestii jest właśnie takie, a nie inne”? Czy nie na tym polega wolność słowa?

Gdzie tu jest jakieś nawiązywanie do nienawiści, albo obrażanie kogokolwiek? Czy jeśli powiem, że heteroseksualizm jest chorobą, to też ktoś się do mnie doczepi? Albo jeśli z jakiegoś powodu obrzydzą mnie pary damsko-męskie? A kto inny, jak nie ja sam, może decydować o tym co mnie obrzydza, a co nie? Dlaczego pewne tematy mają być objęte specjalnym tabu i dlaczego musimy unikać pewnych stwierdzeń o akurat tych (a nie innych) aspektach naszej rzeczywistości?

Oczywiście, zaraz ktoś mi powie, że homoseksualizm został już dawno wykreślony z listy chorób, przez jakieś tam kolegium naukowe. Ale co mnie to do diabła obchodzi? Dlaczego w tworzeniu własnych poglądów mam się słuchać jakiś amerykańskich naukowców, którzy coś sobie wymyślili (słusznie bądź nie) i wprowadzili to jako oficjalną prawdę? Dlaczego akurat oni mają być dla mnie autorytetem, kim oni są, żeby dyktować mi co mam mówić (co mam myśleć)? Moja racja z konieczności musi należeć do mnie i być produktem moich osobistych przemyśleń; może być głupia, absurdalna, dziwaczna, idiotyczna, ale zwyczajnie mam naturalne prawo, aby ją posiadać i aby ją głosić. Czemu ktoś inny miałby o tym decydować? (Po za tym sama teza, że homoseksualizm jest chorobą, nie ma w sobie żadnej absurdalności. Nauka nie może tolerować dogmatów i musi być otwarta na każdą teorię, i każde wyjaśnienie. Natura homoseksualizmu jest przedmiotem badań,

dlatego konieczne jest, aby umożliwić naukowcom nieskrępowane wyrażanie swoich twierdzeń na ten temat. To samo tyczy się problematyki nad ewentualną możliwości wyleczenia z homoseksualizmu. Jeśli są naukowcy, którzy twierdzą, że są w stanie to zrobić, i jeśli są ludzie, którzy chcieliby się poddać takiej terapii, to jakim prawem ktoś ma się do tego wtrącać? Cały czas zakładam, że nie dochodzi tu do ŻADNEGO przymusu).

A nawet jeśli rzeczywiście ich nienawidzę, to dlaczego ma to być zabronione? Przecież to ja decyduję o tym kogo nienawidzę, a kogo darzę miłością. Dlaczego ktoś inny miałby mi to narzucać? Jakim cudem władza może sprawować rządy nad moimi uczuciami? Czy muszę się tłumaczyć, dlaczego czuję niechęć do takiej, a takiej grupy społecznej? I czy powody te nie mogą być zwyczajnie trywialne (kolor skóry, orientacja seksualna, płeć)? Nie przeczę, że jest to postawa głupia, prymitywna i godna pożałowania. Ale jeśli sobie z jakiegoś powodu umyślę, że czuję nienawiść do kogoś tylko dlatego, że zamiast kobiety ma w łóżku mężczyznę, to jakim prawem ktoś miałby mi tego zabraniać? Oczywiście zakładam, że owa nienawiść jest tylko manifestowana słownie, a nie przechodzi od słów do czynów. Czym innym jest posiadanie określonych poglądów, a czym innych realizacja ich, poprzez dokonanie agresji na innej osobie. I wreszcie: kto może decydować o tym, co jest nienawiścią, a co nie? Jest przecież różnica między szczerym życzeniem śmierci innym ludziom, a zwykłym nie lubieniem ich, bądź czuciem obrzydzenia do czynów, które popełniają. I dlaczego jednych można nienawidzić, a drugich nie? Nikt nie ma do mnie pretensji, jeśli stwierdzę, że nienawidzę powiedzmy Osamy bin Ladena (będzie to nawet przyjęte z pewną aprobatą), ale zwykła niechęć do Roberta Biedronia czy Barracka Obamy może być już przyjęta za przejaw, odpowiednio, homofobii czy rasizmu.

A co jeśli pójdę na całość i będę wprost nawoływać do nienawiści? Czemu jest to już przestępstwo? Przecież jeśli będę krzyczeć (przykład podany przez Roberta Biedronia w

programie „Młodzież kontra”) „pedały do gazu”, to czy zmuszam kogoś aby mnie słuchał? Przecież każdy człowiek ma własny rozum i sam może decydować o tym, czyje polecenia wykonywać, a czyje nie. W zwykłym, zdrowym społeczeństwie, taki krzykacz powinien zostać zwyczajnie zignorowany. A jeśli ktoś go posłucha i rzeczywiście wrzuci owego „pedała” do gazu? Wtedy ten człowiek (wykonawca rozkazu) powinien być sądzony za morderstwo. Osoba nawołująca nie popełniła tu żadnej winy, gdyż nie uczyniła nikomu krzywdy. Nie było żadnego elementu przymusu.

Dziś w Europie widzimy masę różnorodnych, orwellowskich zabiegów takich jak: nowomowa (mowa nienawiści, ciemnogród), przekręcanie definicji pojęć na własny użytek (tolerancja, faszyzm) czy wreszcie tworzenie memów społecznych i zmuszaniu ludzi do samokontroli (poprawność polityczna) – wszystko to w linii ciągłej prowadzi do zwykłego dyktatu pewnej grupy wpływu nad całą resztą. Część poglądów jest promowana i wysuwana na piedestał, a część usuwana w cień, zapomniana czy co najgorsze – karana. Największą zarazą z tego wszystkiego jest poprawność polityczna, która powoduje, że ludzie sami gryzą się w język i autocenzurują. Jest wiele dziedzin życia, w których nie przystoi powiedzieć wprost tego co się myśli – najlepiej w ogóle się nie odzywać, a jeśli już jest to konieczne, to maksymalnie łagodzić swoją wypowiedź („wiesz, ja nie jestem przeciw, ale...”, „nie jestem rasistą/homofobem/nacjonalistą/kapitalistą/itp. ALE...”, „właściwie to się zgadzam, ale...”, „ktoś inny tak powiedział, ja tylko powtarzam...”). A jeśli już się znajdzie jakiś niepoprawny, którzy rzuci wprost co myśli, zostanie skutecznie uciszony przez otoczenie („Ty faszysto(ależ to słowo jest wygodne!)/rasisto/męska, szowinistyczna świnió/etc.!", „chyba nie jesteś przeciwnikiem tolerancji?", „tylko nie mów, że jesteś z tej ciemnoty od Rydzyka”). Zasadnicza na dalszy plan spada to, czy dana wypowiedź jest wartościowa, czy nie; czy zawiera prawdę, czy też nie – liczy się fakt, że dotyka czułego tematu, który z jakiś powodów został objęty specjalną

troską. W naszym przykładzie taką troską zostali objęci właśnie homoseksualiści. Grupy homopropagandy mają dziś prawa do głoszenia niemalże wszystkiego, także obrażania innych, za to za każde słowo przeciwko nim, domagają się ostrych kar dla oponentów. Dla mnie do dosyć przerażające, jak łatwo ofiary (które przez wiele lat całkiem słusznie walczyły o swoje prawa) przeradzają się w katów.

Oczywiście prowadzi to tylko do jednego – konstruowania społeczeństwa według ściśle określonego planu. Mamy do czynienia z pewną „policją myśli”, która dba o to, aby pewne idee zostały totalnie zniszczone, a inne zawładnęły umysłami możliwie jak największej masy ludzi. Stworzenie systemu poprawności politycznej powoduje, że wszystkie niewygodne jednostki, głoszące „niepopularne” poglądy, zostają łatwo usunięte (np. przez poddanie ostracyzmowi społecznemu, a w skrajnych przypadkach przez umieszczenie w więzieniach), za to cała reszta tworzy jednomyślne, podporządkowane stado. Wymiana informacji zostaje drastycznie zaburzona, a niezależność myśli zlikwidowana. Ludzie idą za trendem niczym osioł za marchewką, dzięki czemu bardzo prosto nimi pokierować. W takiej sytuacji ciężko zorganizować jakikolwiek bunt, ciężko też mówić o jakimś indywidualizmie (noszenie farbowanych włosów na głowie czy kolczyka na pępku nie jest przejawem indywidualizmu – jest tylko efektem podążania za modą. Indywidualizm z konieczności musi znajdować się w mniejszości, najlepiej jednoosobowej). Różnorodność myśli w społeczeństwie maleje i zostają ci, którzy aktualnie potrafią dopasować się do sytuacji.

Kiedyś, pewna znajoma rzuciła mi wprost: „Boże, myślałam, że takie zacofane poglądy już dawno wyszły z mody, może pięćdziesiąt lat temu, ale teraz?” – dalsza dyskusja okazała się niemożliwa. Ciężko mi zrozumieć jak dane poglądy mogą być „w modzie”. Kto o tym decyduje? I dlaczego ktokolwiek się temu podporządkowuje? Dlaczego JA mam się temu podporządkowywać? Czemu pół wieku temu mogłem myśleć w dany sposób, a teraz już nie? I co decyduje o tym, że jedne myśli są ciemne, a inne

jasne?

Na koniec, żeby było jasne: jeśli chodzi o mój osobisty stosunek do homoseksualistów, to są mi oni grupą całkowicie obojętną i nie czuję do nich ani sympatii, ani antypatii. Nie obchodzi mnie co kto robi w swoim własnym mieszkaniu i co trzyma pod kołdrą (niech to będzie zwierzę, trup, roślina, deska do prasowania – jego sprawa). Ale nie mam zamiaru tolerować niektórych żądań tej grupy (a raczej samozwańców, którzy się podają za jej przedstawicieli, gdyż zwykły, normalny „homoś” ma tyle wspólnego z gejowskim lobby, co przeciętna kobieta z feministką), które mogą w jakikolwiek sposób ograniczyć moja wolność. Jako libertarianin opowiadam się za wolnością słowa absolutną i nie dopuszczam jakichkolwiek ograniczeń dla niej. Tak samo za niedopuszczalną cenzurę uważam ustawy takie jak: o obrazie prezydenta, o obrazie uczuć religijnych, o zakazie propagowania systemów totalitarnych itp. – tutaj nie będę się rozpisywać dlaczego jestem ich przeciwny, ale jeśli jest taka możliwość, to powinno się przeciwdziałać wszystkim kolejnym takim „potworkom”, które mogą w jakikolwiek sposób zamykać ludziom usta i ograniczać im pole do działania.

Zabawne jest, że autorem projektu jest partia Janusza Palikota, która wcześniej opowiedziała się za zniesieniem przepisu o obrazie uczuć religijnych i obrazie prezydenta. Dlaczego liderzy tego (podobno) „wolnościowego” ugrupowania, w jednych kwestiach opowiadają się za zwiększeniem wolności słowa, a w innych za zmniejszeniem jej? Co o tym decyduje? Czemu jedno jest słuszne, a drugie nie? A wspomniana wyżej gazeta „Gość Niedzielny” wcale nie była lepsza w tej kwestii. Redaktorzy na łamach swojej prasy zrobili dokładnie to samo, tyle, że na odwrót (sprzeciwili się homocenzurze, ale wcześniej poparli uczucia religijne). Także w samym artykule na który się powołałem na początku (zatytułowany „Więzienie za krytykę gejów”), autorstwa Bogumiła Łozińskiego, możemy przeczytać: „projekty lewicy można nawet pochwalić, bo

przecież wobec nikogo nie można głosić nienawiści (...) Problem polega na tym, że autorzy zmian uważają za propagowanie nienawiści i znieważenie każdą krytykę homoseksualizmu, przede wszystkim ze strony Kościoła”.

Czyli z tego można wywnioskować, że panu Łozińskiemu nie przeszkadza cenzura jako taka, ale dba on tylko o to, żeby Kościół był bezpieczny. I jest to zasadniczo jedyny powód, dla którego katoliccy redaktorzy skrytykowali ten koszmarny projekt! Dlaczego nikt tutaj nie walczy o wolność słowa jako wartość samą w sobie, ale każdy próbuje załatwiać swoje własne interesy, przeciągać linę na prawą bądź lewą stronę i pogrążyć tym samym przeciwnika? Dlaczego każdy chce tylko czegoś zakazywać? Wyraźnie, nie chodzi tutaj o dobro kogokolwiek, ale o zwykłą walkę polityczną, w której normalni, szarzy obywatele mogą tylko stracić.

Według mnie mówienie o „wolności słowa dla każdego oprócz...” nie ma żadnego sensu. W taki sposób można argumentować, że w Związku Sowieckim też panowała wolność słowa, tylko że nie dotyczyła „wrogów ludu”, a nawet Korea Północna jest pod tym względem krajem swobody – miłujący dyktatora mają pełne prawo wypowiedzenia się. Nie można dopuścić do sytuacji w której jedna grupa ma prawa wyrażać swoje poglądy, a innym się tego zakazuje, bądź zmusza do ich zmiany (Ciekawe jak? Agorysta S.E. Konkin mawiał: „Przynajmniej w dziedzinie myśli anarchia jest wciąż absolutna”. Czy ktokolwiek wierzy, że jakaś ustawa przemieni neonazistę w siostrę miłosierdzia?). Kraj w którym do tego dochodzi nie jest już „wolnym krajem” (chyba, że mówimy o tempie wzrostu gospodarczego...), ale krajem w którym jedna (uprzywilejowana) grupa sprawuje dyktat nad tą drugą (ocenzurowaną).

Nie apeluję do nikogo o opowiadanie się po tej czy po tamtej stronie, ale po prostu o samodzielne myślenie i walkę o podstawowe, niezbywalne prawa.

Autor: Wojciech Mazurkiewicz

Strona autora: libertarianin.org

Nadesłano do „Wolnych Mediów”